

ARNOLD GOLSWORTHY.

# Krzyk w nocy.

2

(Ciąg dalszy).

Pan Ponderbury, który wszedł zaraz za mną, zaświecił kawałek świecy i w blasku jej poznałem w leżącym na ziemi człowieku swego ojca. Z rany płynęła mu obficie krew, nie mógł już mówić, dał nam tylko znak, że pomoc lekarska jest już zbyt późna. Nie widziałem ojca od lat dwudziestu, nie wiem, czy miał jakich nieprzyjaciół i nikogo nie posądzam o zbrodnię. Zapytałem go o mordercę, lecz nie zdążył już wymówić imienia, opadł tylko martwy na me ręce. Przy pomocy ludzi przeniosłem go do siebie, gdzie przybyły pospiesznie lekarz skonstatował śmierć. To tylko wiem i to znaną, przekonany w swym sumieniu etc. etc.

Lekki szmer przerażenia przebiegł salę, gdy koroner skończył czytanie i oczy wszystkich zwróciły się na Wilfreda, który blady siedział koło sir Johna Lesterhama. Następnie wezwano Ponderbury'ego: urzędnik, drząc cały, z wielkimi kroplami potu na czole składał przysięgę i dodał, że będzie mówił prawdę. Na szczęście dla niego, koroner zażądał tylko, by potwierdził zeznanie Wilfreda, potem zapytał, czy ma jeszcze co do dodania, na co odpowiedział pospiesznie, że nic więcej nie wie. Kilku z sędziów przysięgłych, którzy słyszeli poprzednie jego opowiadania z całą masą nieprawdopodobnych szczegółów, chcieli postawić jeszcze kilka pytań, wywołanie jednak nazwiska sir Johna Lesterhama, baroneta, sędziego pokoju, skupiło na nim uwagę.

— Pragnę tylko poprosić pana — odezwał się koroner — o krótkie opisanie miejscowości, znanej pod nazwą szopy cygańskiej.

Sir John odpowiedział w kilku słowach jej właściwe dawne przeznaczenie i dlaczego nie zburzył jej zupełnie.

— A więc cyganie korzystali z niej?

— Tak, w czasie niepogody woleli kryć się w niej, niż mieszkać na otwartym powietrzu w swych wozach.

— Czy w dniu 1 sierpnia, lub wogóle w tym czasie, szopa zajęta była przez jaki tabor?

— Nie wiem, nie byłem w Greenleafhurst; po powrocie dowiedziałem się o spełnionej zbrodni i zaraz udałem się konno do pana Allistona.

— Dziękuję, sir Johnie — odpowiedział koroner, notując kilka szczegółów.

Następnie zeznawał strażnik miejski, który patrolował w tej części gminy, nie widział jednak żadnego wozu cygańskiego. W godzinę po odkryciu zbrodni przebiegł całą okolicę, lecz nie znalazł żadnego śladu ich pobytu. Zazwyczaj wiedział dobrze, gdy przybywali cyganie i wtedy pilnował ich.

Pewne poruszenie dało zauważyć się w sali, gdy naprzód wystąpił detektyw z Londynu z wielkim notesem w ręku. Skłonił się z godnością i czekał na zapytania.

— Czy pan oglądał budynek, zwany szopą cygańską?

— Tak, obejrzałem go w towarzystwie miejscowego strażnika.

— Czy zwrócił pan baczność uwagę na stronę wewnętrzną, zewnętrzną i na okolicę — pytał dalej koroner.

— Tak.

— Proszę powiedzieć, co pan zauważył.

— Nie znalazłem najmniejszego śladu przejścia obozu cygańskiego, co jednak można łatwo wytłumaczyć ulewным deszczem, który zaczął się o godzinie dziesiątej i trwał całą noc. Wewnątrz szopy, której podłoga stanowi miętka glina, zauważyłem tylko liczne odciski stóp ludzkich; nie przedstawiają one dla śledztwa żadnego interesu, z wyjątkiem jednak kilku, które zbadałem szczegółowo.

— Cóż to takiego? — zapytał koroner, niecierpliwie się dłużej, powolnym opowiadaniem detektywa.

— Znalazłem — mówił dalej z niewzruszoną powagą detektyw — ślady stóp, które nie należą żadną miarą do osób, jakie znajdowały się wtedy jawnie w szopie.

Wszyscy zebrani, nie wyłączając nawet sir Johna, poruszyli się na swych miejscach, jakby dla zwrócenia pilniejszej uwagi.

— Są to odciski obuwi o niezwykle szerokiej podeszwie i obcasach, jakich używają turyści w swych wycieczkach. Odciski te, wyróżniające się widocznie od innych, znalazłem tylko na przestrzemi między drzwiami a oknem. Wnioskuje, że pozostawiła je osoba, która chodziła niecierpliwie po tem miejscu jakby w oczekiwaniu kogoś lub czegoś.

— Na czym pan opiera swój sąd, że są one świeże?

— Z powodu ich liczby: gdyby były dawne, z pewnością zostałyby zdeptane, jeżeli nie wszystkie, to większa ich część. Spostrzegłem ponadto, iż ślady stóp ofiary i tej osoby, były w jednym miejscu zwrócone do siebie. Oprócz tego, zamordowany padając na ziemię, oparł się na rękach, pozostawiając po nich wgłębienie koło siebie, jeden odcisk ręki był zdeptany przez wielki trzewik; na podstawie tego twierdzę, że osoba w tem obuwu była jeszcze w szopie po morderstwie.

— Dziękuję panu za staranność, z jaką zbadał pan cały teren zbrodni, mimo iż nie posuwa to nas naprzód.

Potem, zwracając się do sędziów przysięgłych, dodał:

— Uważam, iż zeznania tych ludzi, którzy przynosili zwłoki zmarłego, nie powiedzą nam nic ciekawego, pozostaje więc jeszcze wysłuchanie opinii doktora. Pan doktor Markham!

Zbliżył się doktor, mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni. Dokonał on szczegółowych oględzin zwłok i znalazł w lewej piersi głęboką ranę szerokości tylko centymetra. Żadana ona została dość długim, ostrem narzędziem i z wielką siłą, ponieważ koszula była rozcięta nawet na plecach. Broń zapewne była kierowana w serce, trafiła ona jednak tylko w płuca. Nóż ten, czy ten sztylet, musiał być z niezwykle dobrej stali i znakomicie zahartowanej, jeżeli nie złamał się w piersi ranego, przebijając go na wylot. Nie może określić ściśle wyglądu tej broni, podobną jednak miał już możliwość oglądać.

— W Peru? — rzucił zapytanie koroner.

— Nie, w Hiszpanii — odpowiedział doktor.

— Czy nic więcej nie ma do dodania pan doktor?

— To wszystko, co mogłem powiedzieć o zwłokach.

— A więc panowie — zwrócił się koroner do sędziów przysięgłych — to są wszystkie szczegóły, jakie zdołaliśmy zebrać o tym nieszczęśliwym wypadku. Panowie słyszeliście zeznania wszystkich świadków, jak również i pana Wilfreda Allistona, które wam przeczytałem. Przekonał się, że zmarły przed opuszczeniem Londynu wysłał depeszę do syna, w której wzmiankował o wezwaniu na jakieś spotkanie. O późnej godzinie znaleziono go w szopie cygańskiej z wielką raną, której prawdopodobnie sam sobie nie zadał. Stwierdziliśmy także, dzięki skrupulatnym poszukiwaniom jednego ze świadków, obecność nieznanej osoby w szopie równocześnie ze znajdowaniem się tam pana Ryszarda Allistona.

— Obecnie nie możemy niestety nic więcej wiedzieć o tym tajemniczym człowieku, jasne jest tylko, że zostało dokonane morderstwo, którego dopuścił się najpewniej on sam. Na razie mamy stwierdzić tylko sam fakt śmierci. Proponuję tedy, aby uznać, iż śledztwo odkryło nie samobójstwo, lecz zabójstwo, popełnione przez nieznanego człowieka. Przystają panowie na to?

Sędziowie przysięgli chętnie dali na to swą zgodę i po podpisaniu odpowiedniego aktu, wszyscy zaczęli się z wolna rozchodzić.

Wilfred, który notował dla siebie wszystkie szczegóły na kawałku papieru, schował go troskliwie do kieszeni i podszedł do sir Johna, by się z nim pożegnać.

— Czy nie chce pan wracać razem ze mną? — zapytał zdziwiony baronet.

— Dziękuję uprzejmie, lecz jeżeli pan pozwoli, pójdę sam — mam różne rzeczy do spełnienia.

— W takim razie nie nalegam. Czy ma pan nadzieję odnalezienia klucza do tej tajemnicy?

— Chcę przyjrzeć się odciskom stóp w szopie — odparł Wilfred. — Po powrocie może będę mógł dać odpowiedź na to pytanie.

I kłaniając się, wziął kapelusz i wyszedł z sali.

## III.

Przed wieczorem, po śledztwie, pan Ponderbury siedział w swym sklepie, zamierzając zamknąć go wcześniej z powodu tych niezwykle okoliczności. Zazwyczaj szedł on potem pod „Czerwonego Lwa“, by z ust stałych gości oberży zebrać wiadomości z całej okolicy, tego dnia jednak postanowił nie wychodzić z domu, wiedząc, iż wszędzie spotka tylko rozmowy na temat zabójstwa i swego udziału w odkryciu go. Rozmyślał właśnie o tem, gdy na progu ukazał się młody nauczyciel.

— Jest co nowego? — zapytał pospiesznie, sądząc z miny przybysza, iż przychodzi z jakimiś wiadomościami.

— Jeszcze nic nie wiem — odpowiedział Alliston zadyszany. — Podobno ogłosili nagrodę za odkrycie zabójcy. Dwie godziny spędziłem w szopie na poszukiwaniach i znalazłem to.

— Co takiego? — zawołał zaintrygowany Ponderbury, pochylając się nad kontuarem. — Nie nie widzę.

— Jest to rzecz bardzo mała — odparł Wilfred i wyciągnął do niego rękę, by mógł lepiej przyjrzeć się. — Zdaje mi się, że to brylant.

— Istotnie i ja tak sędzę, że to jest prawdziwy a nawet ładny brylant — rzekł po chwili przyglądania się urzędnik pocztowy — nie widzę jednak jaki on może mieć związek z odkryciem mordercy.

— Rzeczywiście jest to drobnostka i może nie mieć żadnego znaczenia, ale tonący i brzytwy się chwytą. Jeżeli istotnie jest to brylant, to musi on należeć do osoby, która znajdowała się w szopie równocześnie z moim ojcem. Nie mógł on od dłuższego czasu leżeć w miejscu, gdzie go znalazłem, gdyżby go zdeptano w ziemi, bardzo zaś byłoby nieprawdopodobnem przypuszczenie, że go zgubili cyganie.

— Tak, to prawda, ale on mógł być własnością i pańskiego ojca, mógł wypaść ze szpilki od krawata, spinki lub pierścienia.

— Oh, mój ojciec nigdy nie nosił żadnych biżuterii, z wyjątkiem złotego zegarka. Wiem o tem bardzo dobrze i jestem moralnie przekonany, iż ten brylant nie należał do niego.

— A czy zamierza pan w takim razie dać znać o tem do policyi, która może wiele skorzystać z tego odkrycia. Co pan o tem myśli?

— Nie — nie chcę zawiadamiać o tem nikogo, zwłaszcza zaraz. Jak sam pan twierdzi, nie stanowi to żadnego pewnego dowodu, a osobiście doświadczam pewnego bolesnego zadowolenia, zajmując się sam poszukiwaniem mordercy. Jeżeli znalazłbym coś ważniejszego, natychmiast poinformuję policyję, w każdym razie postanowiłem nie spocząć przed aresztowaniem sprawcy mego nieszczęścia.

Na słowa te wszedł Muskin, którego pan Ponderbury powitał swym zwykłym, trochę drwiącym uśmiechem.

— Dzień dobry, Joe, przyszedł pan zobaczyć się z Adą?

— Nietylko po to tutaj jestem; spodziewałem się spotkać pana Allistona i dowiedzieć się, czy odkryto co nowego. I ja chcę zająć się także tą sprawą.

— Doprawdy? — rzekł Wilfred z lekkim zmarszczeniem czoła, wskazując na zdziwienie.

— Mój Boże, dlaczegożby nie. Jestem pewny, że pan Alliston nie pogniewa się, iż chcę mu w tem pomóc. Jest to, że tak powiem obowiązkiem wszystkich...

— A czy pan słyszał, że ofiarują dwieście funtów szterlingów za odkrycie winnego? — zapytał obojętnym tonem Wilfred.

— Oh, tak — rzekł Joe zaskoczony nagle, rumieniąc się i drapiąc po uchu — doszły mnie o tem jakieś wieści, ale...

— Ah, tak, rozumiem teraz — zawołał z głośnym śmiechem pan Ponderbury, powstrzymując się jednak zaraz z powodu obecności nauczyciela — byłem nawet pewny, że Joe pierwszy chwyci się tego. Ma pan wielką nadzieję, Joe, zagarnąć te dwieście funtów?

— Zdaje mi się, że mam takie samo prawo próbować, jak i każdy inny, czyż nie tak? — zapytał obrażony.

— Wydawało mi się, że pan wychodził niedawno z szopy cygańskiej, lecz może się mylę? — odezwał się Wilfred.

— Tak, widział pan dobrze. To ja byłem i to z łopata, by wyciąć z ziemi jeden odcisk stopy, które są jeszcze bardzo wyraźne; zaniósłem go do domu i wysuszę przy piecu. Sam pan rozumie, że to ma znaczenie. a ja nie chcę stracić żadnej sposobności.

— Oh! Joe się na tem rozumie — szepnął półgłosem pan Ponderbury, nie zwracając się jednak do nikogo w szczególności.

— Jestem panu, panie Muskin, bardzo obowiązany za pomoc w tej sprawie. Pan będzie prawdopodobnie bardzo zadowolony, gdy dowie się, że w szopie spędziłem większą część dnia i znalazłem ten brylant. Tak przynajmniej zdaje mi się, a co pan sądzi?

Joe przez kilka chwil przyglądał się bacznie kamieniowi, rzucając z pod oka spojrzenia na pana Ponderbury, czy ten go obserwuje. Zmieszany tem, iż przyszły teść śledzi jego ruchy, pokiwał powątpiewająco głową.

— To nie jest brylant, panie Alliston — rzekł wreszcie zażenowany przypatrywaniem się sobie —